Siedząc wieczorem po podróży na naszym hotelowym balkoniku wsłuchujemy się w odgłos monsunu. Deszcz wali w aluminiowe blachy sklepikowych dachów, spływa stróżkami po obdartych murach starych budynków, obmywa leżące na chodniku ciała żebraków. Można powiedzieć, że Kalkuta jest miejscem magicznym. O tej porze roku, ze względu na koniec ramadanu, ma w sobie urok Bożego Narodzenia. Ulice udekorowane są kolorowymi lampkami tworzącymi łańcuchy migających światełek, które okalają zdezelowane uliczki marketów warzywnych. Do tego rozbrzmiewający w ciemności huk klaksonów żółtych taksówek, rikszy napędzanych przez zmęczone nogi starców, którzy z przepasanymi na biodrach chustami zarabiają na miskę ryżu własnymi nogami. Kalkutę da się kochać, kochać jej ruch uliczny, światełka, dzieci leżące na kartonowych łóżkach z główkami wspartymi na miękkich fałdach sari swoich matek. Hałas. Strużki dymu unoszącego się z fajek ulicznych sprzedawców, zapach kadzidełek, wieczne korki na ulicach i tysiące tego typu rzeczy. Magia.

Niewiele widziałam z bliska i dokładnie, poza ścianą hotelu naprzeciwko, z balkonu. Ale o tym później. Kalkutę widziałam głównie zza szyb samochodu.

Kolonialne miasto kolonizowane przez rośliny. Za kilkaset (tysięcy) lat rozbiorą je na atomy, to pewne. Obecnie wyrastają na parapetach, kurczowo trzymają się rynien, bujają się z klimatyzacji, okien, o balkonach nie mówiąc. Przewodniki twierdzą, że Kalkuta jest podobna do europejskich miast. Owszem – do Londynu pół wieku po wojnie nuklearnej.

Z balkonu widać więcej niż ścianę. W gruncie rzeczy miejscami ściany nie widać, ponieważ jej nie ma; Jest przekrój przez dwa piętra klatki schodowej. Ludzie chodzący w górę i w dół. Widać też drugie schody przeciwpożarowe, na zewnątrz, po których chodzi kot. Fragment ściany zajmują wywietrzniki z klimatyzacji zaplątane w kablach i rurach. Inny fragment to same cegły. Jedno okno jest zawsze otwarte, a na dachu rośnie wybujały krzak, który zrzucił jedną gałązkę na tło ściany. Teraz, kiedy to piszę, (mój ulubiony tekst) na jednym z wywietrzników siedzi mały kotek w plamy, na drugim (dopiero co tu zeskoczył) – większy biały kot na trzeci spadł właśnie z impetem szczur goniąc własne życie. Klasyka.

Następnego dnia pobudka o piątej rano. Zaspani, wsiadamy do żółtych taksówek, które wiozą nas do Domu Sióstr Miłosierdzia Matki Teresy. Poranna msza zaczyna się o szóstej, a spóźnienia nie są tolerowane. W środku jest czysto i przytulnie, błękitne mury zapraszają do wyciszenia się i wspólnej modlitwy razem z ubranymi w białe szaty siostrami. Odwiedzamy grób Matki Teresy. Po nabożeństwie jemy śniadanie z innymi wolontariuszami z całego świata, wszyscy uśmiechnięci i pogodni, mający tylko jedno na celu: pomagać. Atmosfera ładuje nam baterie pozytywną energią, która wkrótce będzie nam bardzo potrzebna. Po popołudniowym zwiedzaniu miasta zaczynamy wolontariat.

Ciężko opisać tego typu doświadczenie. Każdy przeżywa je na swój własny sposób. Faktem pozostaje jednak, że do łatwych ono nie należy. Zostaliśmy podzieleni na trzy grupy. Osoby pełnoletnie przydzielone zostały do hospicjum z chorymi i umierającymi dorosłymi, niepełnoletni natomiast pojechali do dwóch domów opieki nad osieroconymi dziećmi, zarówno tymi zdrowymi, jak i niepełnosprawnymi fizycznie i umysłowo. Lekko zdenerwowani, rozdzieliliśmy się żeby pójść do nowej pracy. Spostrzeżeniami na temat

minionego popołudnia dzieliliśmy się wieczorem.

Mnie przypadł sierociniec na Shishu Bhavan. Miejsce wygląda jak przedszkole starej daty z okratowanymi oknami. Dwa piętra, na dole dzieci zdrowe, na górze te niesprawne i chore. W sumie około pięćdziesięciu maluszków w wieku mniej więcej pięciu lat. Pierwszego dnia skok na głęboką wodę, trafiam na górę. Dzieci przypięte do fotelików z powykrzywianymi rączkami i nóżkami, niektóre położone bezwładnie na ziemi z otwartymi buziami, pozostawione same sobie. Tak jak większość obawiałam się mojej reakcji na taki widok, z którym wcześniej nigdy nie miałam do czynienia. Okazało się, że zupełnie niepotrzebnie. Dzieci z Shishu Bhavan nawet w człowieku zrobionym ze skały obudziłyby miłość i współczucie. Niektóre z nich są niewidome, prawie wszystkie w większej części sparaliżowane, z chudymi, kościstymi nóżkami powykręcanymi w nienaturalny sposób. Trzeba je zmuszać do najmniejszego nawet ruchu, wyginać kończyny i „rehabilitować", choć nie wiadomo do końca jak takie dziecko złapać żeby nie zrobić mu krzywdy. Nikt nie powiedział nam, co mamy robić. Niektóre dzieci są sprawne fizycznie ale chore umysłowo, autystyczne, co chwilę wpadają w histerię, wiją się w fotelikach krzycząc i płacząc. W obliczu takiej tragedii niewiele można zrobić, jedynie poświęcić im swój czas, uwagę, wprowadzić niewielką zmianę w jednym z wielu dni spędzonych na płaczu, jedzeniu, sikaniu, spaniu. Głaskane po główkach dzieciaki przymykają oczka, wyraźnie łakną czułości nawet z rąk obcej osoby. To prawdziwie wzruszające patrzeć na ich uspokojone przez moment twarzyczki, które zaraz wykrzywią się w płaczący grymas spowodowany niemożnością wyrażenia tego, co naprawdę czują. Kilka godzin zleciało w zastraszającym tempie na przewijaniu, karmieniu, tuleniu, głaskaniu i uspokajaniu. Dzieci dawały się podnosić, przestawiać, kłaść. Reakcji z ich strony dało się doszukać jedynie w ich wielkich ciemnych oczach, wyrażających zwykłą ludzką wdzięczność. Praca ze zdrowymi dziećmi wygląda nieco inaczej. Przypomina nieustanną walkę. Chyba nigdy nie byłam tak poobijana, pogryziona, wycałowana mokrymi całusami i wyprzytulana zarazem. Dzieci w większości są nadpobudliwe, niektóre wręcz agresywne, inne zamknięte w sobie i niedotykalskie. Wszystkie pragną tylko jednego: uwagi drugiego człowieka. Co chwilę któreś wspina mi się na plecy, siada na kolanach, odsuwa kolegę żeby dostać się do nowej „auntie", bo tak nas tutaj nazywają. Przekrzykując się, starają się zwrócić na siebie uwagę w każdy możliwy sposób, czasem zbyt porywczy, a czasem nieśmiały i subtelny. Po popołudniowym karmieniu dzwonek obwieszcza koniec naszej zmiany. Najciężej rozstać się było trzeciego dnia, kiedy z ciężkim sercem za zamkniętymi drzwiami zostawialiśmy naszych małych podopiecznych. Wypełniało mnie szczęście i satysfakcja z wykonanej pracy, z możliwości oddania choć części siebie tym potrzebującym istotkom. Pozostał we mnie jednak wielki niedosyt. Trzy dni to zdecydowanie za mało na tego typu doświadczenie. To niewiele, ale z pewnością wystarczająco aby uzmysłowić każdemu z nas jak ważne w życiu jest poświęcanie siebie innym. Bezcenne.

Oprócz wolontariatu w Kalkucie zwiedziliśmy Kościół św. Jana, budynek sądu, poczty głównej, Victoria Memorial, Bazylikę św. Pawła, brytyjski cmentarz South Street i wreszcie dzielnicę slumsów na Kalighacie. To jedynie namiastka tego wielkiego wspaniałego miasta, postanawiamy więc sobie tutaj wrócić i nadrobić zaległości. Wieczorem wsiadamy w pociąg i następnego dnia jesteśmy już w New Jaipalguri, skąd jeepami docieramy do Sikkimu.

Dzień drugi. Nie widzieliśmy slumsów, dlatego wciąż nie mogę powiedzieć, że wiem, czym jest Kalkuta. Ale byliśmy w kościele. Wielkie kolumny wzdłuż nawy głównej mogłyby stać w Panteonie. Poza tym skromnie, biało. Tylko złoto mozaiki w absydzie za ołtarzem i złoto trzech kadzideł nad ołtarzem. Wszystko proste i klarowne, tak być powinno. I od wejścia muzyka organowa wypełniająca przestrzeń. Prosta i głęboka. Powoli włączyły się nad naszymi głowami wiatraki. Symetria wszystkiego. A potem skończyła się muzyka i zza wielkich organów zabudowanych w ciemnym drewnie wyszedł starszy utykający człowiek i pokazał nam album o Polsce przysłany przez znajomą turystkę z Rudy Śląskiej. Potem zagrał dla nas jeszcze jeden kawałek.

Kto miał dotrzeć na wolontariat, ten dotarł.

Święto ID. Zakończenie Ramadanu, dla Muzułmanów to ponoć święto rzędu Bożego Narodzenia. Znalazłam się w wąskiej uliczce wyglądającej za zakręt. Ludzie jeszcze pracowali, wykupiłam ostatnią na dzisiaj porcję smażonych w głębokim tłuszczu ziemniaczków na jednym ze straganów. Nade mną niebo z lampek choinkowych – subtelniejsza wersja tego, co urzędy miejskie fundują naszym ulicom na Gwiazdkę. Dalej lampki, nie wiem jakim sposobem, były podwieszone nade mną jak woalka nad kołyską dziecka. Ślicznie się świeciły na tym granatowym tle.

Dzień trzeci.

Spadł dzisiaj deszcz, zmokło pranie ludzi ulicy.

Co zostało tu po Anglikach?

Victoria’s Memorial, na przykład. Monumentalny budynek, biały, pomnik królowej z czarnego granitu przed wejściem. Wokół ogród, na tyłach ogrodu wielkie drzewo, skomplikowane, równoramienne, nad sadzawką. W środku muzeum – historia miasta, i nie tylko, poparta pamiątkami z epoki, i nie tylko. To największa atrakcja turystyczna.

Wiktoriańskie zabudowania, które czują się nieswojo, czekają na lepszy czas, takie miałam wrażenie. Budynek poczty na przykład. Po drugiej stronie ulicy stacjonują ludzie specjalizujący się w wypełnianiu papierów analfabetom.

I cmentarze pełne nagrobków młodych ludzi, których Indie pokonały malarią. Widzieliśmy jeden z nich, bardzo piękny.

Architektura jest dla mnie najpiękniejsza w momencie, kiedy zaczyna przegrywać z otaczającą ją przyrodą. Kapliczki – na kolumienkach kopuły porośnięte mchem, okrągłe i stożkowate jak piramidy, świeże zielenią w słońcu (czasami z samego czubka piramidki wyrastała paproć i rozszczepiała promienie słońca). Wysokie i niższe drzewa, pomieszane, skołtunione, wszystko razem i trawa, a w trawie komary. Na krzaku tańczyły motyle – tak sądzę, chodziło chyba o jakiś przejaw uczucia. Życie na cmentarzu toczyło się w najlepsze. W paru kapliczkach suszyło się właśnie pranie). Na skraju, pod murem, kapliczki sąsiadują z wyrastającymi z gruntu ciałami obcymi – metalowymi stelażami bilboardów, które mamiły

przejeżdżających pobliską drogą. Mam nadzieję, że skutecznie, że warto było zakłócać spokój tego miejsca.

A wolontariat?

Wolontariat to trzy dni. Pierwszego nie było, bo Kalkuta to duże miasto, a ośrodków sióstr co najmniej kilka.

Za drugim podejściem trafiliśmy do Daya-Dan.

Było trudno. Nie dlatego, że dzieci nie miały rąk, nóg, albo oczu, albo były trędowate. Bo nie były. Za to mocno upośledzone umysłowo. Miały zapewnioną pełną opiekę, niczego im nie brakowało, na pierwszy rzut oka przynajmniej. Weszłam i nie wiedziałam, co w tym idealnie zorganizowanym światku mam jeszcze zrobić. „Auntie" prosiły mnie od czasu do czasu o rzeczy typu: przewijanie dzieciaków (mój pierwszy raz), zniesienie paru świeżych ręczników z dachu do szafy, potem karmienie – dziewczynki o imieniu Neina (wiem, bo tylko na dźwięk swojego imienia otwierała buzię) ryżową – marchewkową papką. W pozostałym między stałymi punktami dnia czasie dzieci siedziały zapięte w fotelikach, dodatkowo z pulpitem prawie pod pachami. Część przewracała niewidzącymi oczkami, niektóre uderzały rączką o tablet, jeden chłopiec ciągle przeżuwał szmatę.

Spędzić z nimi czas. Dać siebie. Ale nie było oczywiste, w jaki sposób. Gładziliśmy je po rączkach, główkach, mówiliśmy do nich, czasami coś zaśpiewaliśmy. Nie było tam wiele zabawek, przyniosłam kartki i kredki. Rysowałam misia dziewczynce, która, jak powiedziała mi później jedna z sióstr, była niewidoma.

Czuliśmy się niepotrzebni, ogólnie rzecz biorąc. To był czas konsternacji.

Po powrocie przyszedł czas na wyrzuty sumienia, że nie potrafię dać im miłości, której tak bardzo potrzebują, nie umiem się otworzyć. Wyrzuty. Dużo myślałam. Kiedy za dużo myślę, nie jest dobrze.
Ale następny dzień był inny. Niedziela.

Zauważyłam dziewczynę, chyba w moim wieku, o takim wyrazie twarzy, jakby zastanawiała się bardzo głęboko nad czymś, co znajduje się bardzo daleko za mną i jeszcze za ścianą, która jest za mną. Z lekkim wąsikiem. Wiedziałam z wczoraj, że lubi, a przynajmniej potrafi przybijać piątkę. Okazało się, że zaszłyśmy znacznie dalej. zaraz objęła mnie w ramionach, spojrzała w oczy. Nie jestem pewna co widziały wtedy jej oczy, ale musiało to być bardzo piękne. Siedziałyśmy jak takie przyjaciółki, czasami mocniej ją przytulałam, czasami gładziłam po głowie, za uchem (inne dzieciaki to lubią), całowałam w policzek, ale jednak najbardziej lubiła (i dawała do zrozumienia), kiedy trzymałyśmy się za ręce, tak po prostu. Ona patrzyła na mnie, a ja, do jakiego dzieciaka jeszcze podejść, żeby „nie marnować czasu". A potem zrozumiałam, że nigdy się nie dowiem ile dla tej dziewczyny znaczyła każda z tych chwil. Uścisk mojej ręki. Nigdy się nie dowiem. Był też chłopak na wózku, który siedział z daleka od całej reszty dzieci, z którymi pewnie i tak nie zamienił nigdy słowa. Podeszłam do niego. Okazało się, że jego wózek stał naprzeciwko lustra na przeciwległej

ścianie. Ja bym dawno od tego zwariowała. Mówiłam mu. Gładziłam jego ręce. Śmiałam się. On też się zaczął śmiać. Bardzo. Mój śmiech rzadko bywa tak dynamiczny jak tamten. Cała jakby siła tego dojrzewającego mężczyzny przykutego do wózka zdawała się mieć ujście w tym śmiechu. Wierzgał nogami i machał rękami, a ja czułam, czułam się potrzebna. Potem podszedł do nas wolontariusz z Libii, rozmawialiśmy. Próbowałam jeszcze dać trochę miłości innym dzieciom, ludziom. Jednemu zaśpiewałam „Whisky" „Dżemu". Innemu nieśmiertelny kawałek „Ich troje". Starałam się nakarmić kaszką dziecko, którego maksymalna rozwartość buzi wynosiła ok. 2 mm. Po pół godziny i ok. 4 pełnych łyżkach zjedzonej kaszki jedna z sióstr się nad nami zlitowała i przejęła inicjatywę. A za chwilę skończył się czas.

Jak to jest, nie wiem.